

ZIMERA
DOKTORA
MELCHIORA

Redaktor prowadzący: Agnieszka Sobich, Anna Kubalska
Korekta: Magdalena Adamska, Jadwiga Przeczek
Projekt graficzny i DTP: Michalina Paczyńska
Projekt okładki: Kamil Pruszyński
Ilustracje na okładce: Kamil Pruszyński i Anna Oparkowska
Ilustracje w środku: Kamil Pruszyński

© Copyright by Agnieszka Stelmasyk
© Copyright by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa 2019

All rights reserved.

Wydanie I

ISBN 978-83-8154-392-7

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
wydawnictwo@zielonasowa.pl
www.zielonasowa.pl





To jest mój tajny „Zeszyt działań operacyjnych”. Nie mylić z pamiętnikiem, dziennikiem ani niczym podobnym. To jest zeszyt do zadań specjalnych. Nie myślcie też, że jestem jakimś kronikarzem albo coś w tym rodzaju. Nic z tych rzeczy. Po prostu zapisuję tu wszystkie nasze przygody. Fakt, są trochę zwariowane, ale nic na to nie poradzę, że ja i chłopaki ciągle wdajemy się w jakieś awantury.

Zaraz, pewnie nie wiecie, kim jestem. Dobra, no więc nazywam się Przemek Więclawski. A tak w ogóle to rodzice mogli wymyślić mi inne imię. Chociaż i tak się cieszę, że nie dali mi na przykład Lesław. Gdybym był Lesławem, miałbym przechlapane. Wciąż by na mnie wołali Lesław-Krzesław, jak na naszego wychowawcę. Raz ten chuderlawy Jarek zawołał tak za naszym panem i musiał stać pół



lekcji na baczność, nie wolno mu było usiąść na krześle. Dlatego teraz, gdy ktoś przeżywa naszego wychowawcę, robi to bardzo cicho, żeby nauczyciel nie usłyszał. Nikt nie chce tyle stać za karę.

Nasza pani od przyrody mówi, że jesteśmy pokoleniem siedząco-jeżdżącym i wciąż się dziwi, że tak prędko się męczymy, gdy idziemy na przykład do parku na lekcję w terenie. Coś w tym może jest, bo mnie też wtedy często nogi bolą i razem z kumplami szukamy najbliższej ławki, żeby usiąść.

Aha, zapomniałem jeszcze powiedzieć, jak wyglądam. Chyba jestem dosyć przystojny, ale ponieważ nie chcę być narcystyczny, a moja mama czasem mówi, że jestem, poprosiłem młodszą siostrę, żeby mnie narysowała. Podobno jest utalentowana plastycznie, ale nie wiem, gdzie rodzice widzą ten talent, bo mój portret wyszedł jej pokracznie.

Wcale nie mam trzech włosów na krzyż, i to w niebieskim kolorze, ani takiego kulfoniastego nosa. Jestem posiadaczem bujnej, ciemnobrązowej czupryny. Mój nos jest kształtny i akurat taki jak powinien być. Nie mam też ogromniastych uszu jak słoń, tylko zwyczajne, normalne.

I pomyśleć, że Zuzia chodzi na kółko plastyczne! Czego oni ich tam uczą? Rysować karykatury? Oczywiście, gdy mama zobaczyła mój portret, od razu zachwyciła się rysunkiem. Pochwaliła Zuzę i jeszcze tę koszmarną ama-

torszczyznę zawiesiła na lodówce. Teraz cała rodzina, czyli ja, mama, tata, starszy brat, babcia i dziadek, którzy do nas przychodzą, będą go oglądać. Nie wspomnę już o moich kumplach z Klubu Poszukiwaczy Przygód, którzy często wpadają do mnie na naradę, a ponieważ są żarłokami, wciąż coś wyjadają z naszej lodówki. Próbowałem ściągnąć ten rysunek, ale mama kategorycznie mi zabroniła.

– Skoro sam zamówiłeś u Zuzi portret, nie możesz teraz nie doceniać jej pracy. Dziecko trzeba wzmacniać pozytywnie, aby mogło rozwijać swoje talenty – powiedziała z naciskiem mama.

Wciąż czyta te swoje poradniki typu „Jak dobrze wychować dzieci”, albo „Co zrobić, żeby dzieci cię słuchały”. Na moje oko to okropne głupoty. Bo jeśli nie będę chciał słuchać rodziców, to żadne cudowne metody nie pomogą.

No ale mama wie lepiej i zażądała, żebym wzmacniał pozytywnie Zuzię, która szczerzyła głupio zęby i robiła tę swoją złośliwą minę. Oczywiście ta cwaniara, obeznana z poradnikowymi mądrościami mamy, wiedziała, jak wzmacniać pozytywnie rodziców, żeby robili dokładnie to, czego ona chce.

Muszę teraz patrzeć na ten kicz, który rodzice nazywają szumnie dziełem sztuki. Nawet jeśli nie mam zielonych oczu, tylko brązowe i wcale nie jestem aż tak chudy,

no i nie mam takich witek zamiast rąk. Jestem przeciętnego wzrostu jak na piątoklasistę i przeciętnej postury. Co wcale nie oznacza, że jestem przeciętniakiem. O nie, wręcz przeciwnie. Nikt nie potrafi rozwiązywać wszelkich zagadek i tajemnic jak ja. Dlatego to ja jestem szefem naszego klubu.

Jesteście pewnie ciekawi, czym się ostatnio zajmujemy? Wiem, że to zabrzmiało głupio ale... zmorą! A wszystko zaczęło się po rozpoczęciu roku szkolnego. Rodzice kazali mi zapisać się na jakieś zajęcia pozalekcyjne. Jakby lekcji było za mało! Tłumaczyłem, że po szkole jestem bardzo zmęczony i nie mam już sił na żadne dodatkowe kółka.

– Koła zainteresowań są doskonałą formą rozwijania talentów i pogłębiania wiedzy. – Mama dała mi wykład.

– Ale ja nie chcę pogłębiać mojej wiedzy, uważam, że jest dość głęboka – odparłem z pełnym przekonaniem.

– Jak studnia bez dna! – zarechotał Michał, mój doskonały brat gimnazjalista, który na pewno będzie kiedyś studiował w Oksfordzie, taki jest mądry. Wiedza dosłownie wychodzi mu uszami. Może dlatego ma takie odstające. Pokazałem mu język za kpinę z mojego intelektu.

Mama oczywiście nie słyszała szkalującego sarkazmu w głosie Michała i ciągnęła:

– Masz doskonałą okazję, przecież blisko szkoły jest Miejski Dom Kultury i ma bogatą ofertę zajęć. Sprawdziłam,

na pewno coś dla siebie znajdziesz. A nie muszę ci chyba przypominać, że za uczestniczenie w takich zajęciach otrzymuje się dodatkowe punkty. A ty, Przemku – mama zniżyła głos i zajrzała mi głęboko w oczy – pod koniec roku nie cierpisz zwykle na nadmiar punktów dodatnich. I kiedy trzeba wystawić ocenę ze sprawowania, robi się nerwowo – przypomniła.

Co ja na to poradzę, że czasem się spóźniam na lekcje albo gadam i wtedy nauczyciele odejmują mi punkty? Kto w ogóle wymyślił ten głupi system z punktami? Łatwiej złapać ujemne niż dostać dodatnie. Moje spóźnienia często mają związek z różnymi sprawami, które prowadzę. Niestety, to nie jest wystarczające tłumaczenie dla mojej mamy. Chcąc nie chcąc, musiałem się na coś zapisać.

We wtorek, czyli parę dni po rozpoczęciu roku szkolnego, po lekcjach poszliśmy do emdeku, żeby coś wybrać. Staliśmy z chłopakami jak te głupki i na nic nie mogliśmy się zdecydować.

– Kółko plastyczne? – Bazyl spojrzał na mnie pytająco.

– O nie! – zaprotestowałem żywo. – Tam chodzi moja siostra. To dla maluchów, jesteśmy w piątej klasie, a nie w drugiej i nie będziemy siedzieć z dziećmi, którym leca gile z nosa, a one rozsmarowują je po kartce zamiast farbki! Nic z tego!

– Blee... – Bazyl otrząsnął się z obrzydzeniem. – Pfuj.



– Wierz mi, sam to widziałem – dodałem grobowym głosem, bo taka też była prawda. Musiałem kiedyś odebrać Zuzię i byłem świadkiem, jak jakieś zasmarkane dziecko wycierało nos w swój rysunek. Potem pół dnia odkażałem Zużę, a i tak się bałem, że wniosła zarazę do domu.

– Szkoda, że plastyka odpada – westchnął Bazyl. – Nie musielibyśmy się za wiele narobić, a na koniec semestru wpadłoby parę punktów.

– Wybierzmy coś innego. – Przesuwałem palcem po liście zajęć. Było ich całe mnóstwo, ale spróbujcie wybrać coś dla takiej młodzieży jak my! – Koło polonistyczne, matematyczne – czytałem na głos. – Ludzie, przecież to mamy w szkole na co dzień, litości – jęknąłem ze wzgardą.

– Może organki? – wyskoczył Muffin. – Nauczylibyśmy się grać na organkach, to byłoby rozwijające, nie?

– Tak, i dawalibyśmy koncerty organkowe. – Wyobraziłem sobie naszą paczkę i popukałem się w głowę.

– Są jeszcze flety. – Muffin nie zraził się.

– Flety są dobre dla dziewczyn! – odparłem czym prędzej. – Odpada.

– Szkoda – westchnął Muffin.

Przez kilka następnych minut wciąż staliśmy przed tablicą z zajęciami i na nic nie mogliśmy się zdecydować. Zespoły taneczne odpadały, tak samo chór i kółko teatralne, zespół pantomimy i warsztaty origami.



Przy tym ostatnim upierał się zwłaszcza Bazyl, bo on ma świra na punkcie składania papieru. Ja jednak uznałem, że to zajęcie mało rozwijające.

– Już wiem! – wykrzyknął nagle Rodzynek (ma trzy siostry i jest w swojej rodzinie jedynym chłopakiem oprócz taty). – Wybierzmy zajęcia sportowe. To coś w sam raz dla chłopaków.

– Chyba ci odbiło? – Popatrzyłem z niedowierzaniem. – Mamy wuef cztery razy w tygodniu, w tym basen, a ty chcesz, żebym męczył się jeszcze dodatkowo?

Aż mnie ciarki przeszły na myśl o takim wysiłku.

– No to klops – westchnął Bazyl, który chodził na judo i chyba lubił wysiłek fizyczny. – Nie stworzyli żadnych zajęć dla nas. – Z rezygnacją podrapał się po piegowatym nosie.

– Hej, zaraz... czekaj, czekaj...

Coś mi przyszło do głowy.

– Skoro nie ma zajęć dla nas, to sami musimy je sobie wymyślić. Założymy klub – oświadczyłem.

– Ale za to nie dadzą nam punktów – przytomnie zauważył Rodzynek.

To trochę popsuło mój genialny plan.

– No to zapiszemy się na coś takiego, co będzie łatwe do odbębnienia, a rozwijać będziemy się w naszym klubie – wymyśliłem doskonałe rozwiązanie.



– Tylko co będziemy robić w tym klubie? I jak się on będzie nazywał? – Muffin najchętniej zajmowałby się w nim jedzeniem, ponieważ był z nas wszystkich największym łasuchem. Miał pyzate policzki, a przez te swoje niebieskie oczy i kręcone blond włosy, jego rodzice nazywali go swoim cherubinkiem. Brakowało mu tylko skrzydełek. Muffin był jednak bardzo fajnym kolegą i znaleźmy się od przedszkola, dlatego chciałem, żeby też był w mojej paczce.

Bazyl i Rodzynek wysunęli kilka bzdurnych propozycji dla działalności naszego klubu, ale ja od razu wpadłem na najlepszy pomysł:

- To będzie Klub Poszukiwaczy Przygód.
- Fajnie. – Bazyl pokiwał głową. – Tylko jak my znajdziemy te przygody?
- Nie martw się, same nas znajdą. – Machnąłem ręką. Postanowiłem też od razu pójść za ciosem:
- Pierwsze spotkanie odbędzie się dzisiaj po południu.
- A co będziemy na nim robić? – zainteresował się Rodzynek.

Wyciągnąłem z kieszeni wycięty artykuł z porannej gazety. W oczy rzucał się krzykliwy nagłówek:

Kto ukradł Wyczółkowskiego?

Ubiegłej nocy z Muzeum Okręgowego skradziono pięć obrazów Leona Wyczółkowskiego. Sprawcy z łatwością

pokonali wszelkie zabezpieczenia i ślad po nich zaginął. Kradzież obrazów to wielka strata i ujma dla naszego miasta. Niektóre obrazy z kolekcji wypożyczyły nam muzea z Krakowa, Warszawy czy Poznania, rabunek zatem odbił się głośnieym echem w całym kraju.

Ktokolwiek wie coś o tej tajemniczej sprawie, proszony jest o kontakt z inspektorem Ferdynandem Szczurkiem.

– Zajmiemy się tą sprawą skradzionej kolekcji – oznajmiłem.

- Przecież to wielka afera! – Rodzynek wybałuszył oczy.
- No właśnie, tylko pomysł, jeśli wytropimy gang złodziei, będziemy sławni na całym świecie.

Kumple popatrzyli na mnie z uznaniem.

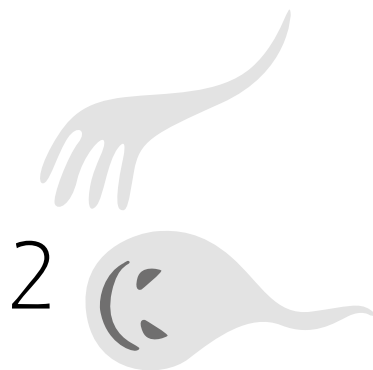
– Ty to masz łeb.

– Jasne, że mam – prychnąłem z wyższością. – No to narka! Spotkamy się po szkole w mojej piwnicy. Tam będą się odbywać spotkania klubu – poinformowałem, po czym zarzuciłem na ramię plecak, pożegnałem się z chłopakami i pognałem do domu. Na zajęcia dodatkowe postanowiłem zapisać się później.

Musiałem najpierw przygotować piwnicę przed pierwszym spotkaniem.

Tak właśnie narodził się nasz klub. Nie mogłem jednak przewidzieć, ile kłopotów z tego wyniknie.





Kiedy wróciłem po lekcjach do domu, rzuciłem torbę w korytarzu, wyciągnąłem z szuflady klucz do piwnicy i zszedłem na dół. Mieliśmy z bratem i tatą już dawno w niej posprzątać, mama wciąż nas o to prosiła, ale ciągle nie było czasu. W efekcie, kiedy tylko wszedłem, runął na mnie cały stos kartonów z zimowymi i letnimi butami oraz najprzeróżniejszymi rzeczami, których przeznaczenia nawet nie próbowałem odgadnąć. Ledwo się spod tego wydostałem.

Upchnąłem wszystkie kartony na bok i to, co się z nich wysypało, również. Nie miałem teraz czasu na porządki, uznałem, że potem się tym zajmę. Znalazłem stary okrągły stolik z kulawą nogą. O tak, on się nada. Spod sterty makulatury, którą zbierałem do szkoły, i worków plastikowych nakrętek, wydobyłem stół na powierzchnię.



Oparłem na zakurzonej blacie ręce i sprawdziłem jego wytrzymałość.

– Całkiem dobry – zamruczałem zadowolony.

Pod tę przykrótką nogę podłożyłem kawałek cegły. Nie wiedziałem, skąd się wzięła cegła w naszej piwnicy, ale najwidoczniej kiedyś do czegoś służyła albo już nie zdążyła posłużyć.

Miałem już stół, ale nadal to wszystko nie przypominało miejsca, w którym mógłby działać klub. Musieliśmy przecieć na czymś siedzieć, a było nas aż czterech. Przypominałem sobie o rozkładanych krzesłkach na ryby. Mój tata czasem zabierał mnie i brata nad rzekę. Ale minęło już sporo czasu, odkąd byliśmy tam po raz ostatni.

Krzeszełek było więcej, bo czasem na ryby jeździła z nami mama z Zuzią. Właściwie nie wiem, po co one jeździły. Mama przez cały czas zagadywała tatę, a Zuzia darła się wniebogłosy, strasząc nie tylko ryby w rzece, ale i wszystkich okolicznych rybaków.

Przy okazji szukania krzeseł, znalazłem coś wspaniałego: wojskową siatkę w maskujących, ciemnozielonych kolorach.

Kiedyś tata zabrał mnie i brata do lasu, żebyśmy obserwowali jelenie – to kolejna pasja taty. Mówi, że to piękne i dostojne zwierzęta. Ja tam nie wiem, bo kiedy nas wtedy zabrał, kazał nam siedzieć w kryjówce przykrytej tą maskującą



siatką pół nocy aż do świtu. Ciemno było w tym lesie, choć oko wykol, komary pogryzły nas niemiłosiernie, miałem bąble na twarzy, a kiedy wreszcie wstał świt i myślałem, że w końcu zobaczymy te jelenie i nasza udręka się skończy, nad lasem uniosły się takie mgły, że już wcale nic nie było widać. Żadnych jeleni, borsuków, zajęcy, wiewiórek, dosłownie nic! Na dodatek potem zabłądziliśmy i tata przeciągnął nas chyba przez pół lasu. Złapałem nawet kleszcza. Mama, jak go zobaczyła, wpadła w histerię, że na pewno teraz zachoruję na boreliozę albo zapalenie mózgu, bo ojciec jest nieodpowiedzialnym człowiekiem.

– Naprawdę mózg ci się zapali? – Zuzia łąziła ciągle za mną z wystraszoną miną. Tym razem ta smarkata naprawdę się o mnie martwiła.

– Nie zapali. Zapalenie mózgu to taka choroba, bardzo poważna – tłumaczył jej mój przemądrzały brat Michał. – Przed kleszczami należy się odpowiednio chronić. Ja użyłem płynu odstraszającego, a Przemek nie.

– Ojej... – Mała się przejęła.

Rzeczywiście Michał miał rację, nie chciało mi się używać płynu, a brat spryskał się tak, że nawet muchy pół metra od niego padały. Jasne, jemu nigdy nic nie groziło.

Przez następnych kilka godzin z niepokojem wypatrywałem u siebie objawów tych wszystkich strasznych chorób. Po usunięciu kleszcza mama solidnie zdezynfe-

kowała ugryzione miejsce, a samego kleszcza wyciągnęła specjalną pompką, żeby nie uszkodzić pajęczaka. Podobno, gdyby go źle wyciągnęła, on mógłby zwymiotować do mojej krwi i przekazać mi zarazki. No wiecie!?

Muffin powiedział, że znał chłopaka, który też został ugryziony przez kleszcza i u niego lekarze wykryli boreliozę. Musiał dostawać mnóstwo zastrzyków! Przeraziłem się jeszcze bardziej.

Cały dzień spędziłem w łóżku. Wszyscy domownicy chodzili wokół mnie na palcach z zatroskanymi minami, a ja czekałem na pojawienie się najgorszego. Studiowałem objawy w książce i już pod wieczór zauważyłem u siebie większość z nich.

Tata chodził jak struty, wyrzucając sobie, że to jego wina. W sumie miał rację, przecież to była jego wina. To on kazał mi siedzieć w tym lesie i nie dopilnował, czy spryskałem się płynem odstraszającym. Uznałem, że należy mi się odszkodowanie za utratę zdrowia i straty moralne.

– Kupisz mi nową konsolę? Najlepiej Xboxa, tak o tym marzę – wyszeptalem tacie omdlewającym głosem, przy-
mykając oczy.

Tak naprawdę nie czułem się aż tak źle, ale przecież w każdej chwili mogłem naprawdę śmiertelnie ZACHO-
ROWAĆ.



Tata odgarnął moje wilgotne włosy z czoła, pocałował mnie w policzek i obiecał:

– Dobrze, kupię ci. Tylko mi już wyzdrowiej.

Jak więc widzicie, to chorowanie nie było takie złe. Tyle że mama zabrała mnie w końcu do lekarza na badania. Okazało się, że miałem szczęście i kleszcz niczym mnie nie zaraził. Kamień spadł mi z serca, ale gdy po powrocie do domu w ramach relaksu usiadłem przed komputerem, mama stanowczo zabroniła mi grać.

Powiedziała, że skoro jestem zdrowy, czas skończyć z rekonwalescencją i symulowaniem.

Też coś, wcale nie symulowałem. Naprawdę poczułem się chory, gdy pomyślałem, że kleszcz mógł zwymiotować do mojego krwiobiegu.

No ale zboczyłem z tematu. Wszystko przez tę siatkę, którą wyciągnąłem z kąta piwnicy i przypomniałem sobie o tamtej historii.

Rozwiesiłem ją nad stołem i pozaczepiałem o rury biegnące pod sufitem, tworząc coś w rodzaju namiotu. Wewnątrz tego namiotu znajdował się stół i krzeselka rybackie.

Kiedy popatrzyłem na swoje dzieło, byłem naprawdę zadowolony. Zerknąłem na zegarek. Do spotkania naszego klubu została jakaś godzina. Musiałem odrobić lekcje, żeby mi potem mama nie suszyła głowy. Nie chcia-

łem, żeby przerwała nam inauguracyjne spotkanie Klubu Poszukiwaczy Przygód. Na szczęście tego dnia nie było zbyt wiele lekcji do odrobienia. Prędko więc uwinąłem się z matką – postanowiłem rozwiązać zadania następnego dnia rano – i odfajkowałem pracę z polskiego.

Polecenie brzmiało:

Wykonaj opis tortu. Pamiętaj o wstępie, rozwinięciu i zakończeniu.

A moja praca wyglądała tak:

Nie mogę opisać tortu, ponieważ go zjadłem.

Tort był bardzo dobry.

To koniec.

Prościzna, prawda? Wstęp, rozwinięcie, zakończenie, wszystko się zgadza.

Zadowolony z siebie wrzuciłem zeszyt do torby i na dźwięk dzwonka do drzwi, wybiegłem z pokoju.

– Przemku, odrobiłeś lekcje? – dogonił mnie głos mamy, krzającej się w kuchni.

– Jasne, mam! Przyszli do mnie chłopacy. Będziemy od tej pory spotykać się w naszej piwnicy. To będzie siedziba klubu, który dzisiaj założyłem.



– Klubu? – zainteresowała się mama.

– Tak, Klubu Poszukiwaczy Przygód. Wziąłem sobie do serca twoje zalecenia i będziemy się razem z chłopakami rozwijać – odparłem, równocześnie otwierając drzwi wejściowe.

Jeden za drugim weszli jak zwykle rozczochrany Bazyl, Rodzynek ze swoją idealnie uczesaną fryzurą i Muffin z nieodłączną lukrowaną babeczką w dłoni.

– Bry, bry – mamrotali do mojej mamy słowa powitania.

– Dzień dobry, chłopcy. – Mama była ogromnie przejęta. – Jestem z was dumna, że wreszcie obudziły się w was ambicje i pragniecie nabywać nowych, rozwijających umiejętności.

Chłopacy stali z rozdziawionymi ustami i gapili się na moją mamę, jakby mówiła do nich po chińsku.

– Jak mamy się tutaj uczyć, to ja nie chcę! – Muffin odwrócił się na pięcie i już zamierzał zwiać, gdy pociągnąłem go za koszulę i mrugnąłem okiem.

– Przecież musiałem coś powiedzieć mamie, żeby pozwoliła nam się spotykać w piwnicy – szepnąłem.

– A, chyba że tak – bąknął Muffin i zawrócił.

Zachwycona mama pewnie myślała, że my będziemy czytać jakieś książki przygodowe albo coś. Odprowadziła nas do samych drzwi piwnicy i zapaliła światło, żebyśmy przypadkiem nie spadli ze schodów.

– Przyniosę wam ciasteczka! – Klasnęła w dłonie.

– Ja też chcę ciasteczka i chcę iść z Przemkiem! – zawyla moja siostra.

Już myślałem, że nici z naszego spotkania klubowego, bo gdy ta smarkuła zaczyna ryczeć i wyć, rodzice na wszystko jej pozwalają. Ale ku mojemu zdumieniu, mama złapała beksę za rękę i poprowadziła do kuchni. Na nic zdało się histeryczne rzucanie się Zuzi na podłogę.

Tym razem ja byłem górą! To był jednak genialny pomysł z tym klubem.

Musiałem tylko przejąć ciasteczka, zanim mama zejdzie z nimi do piwnicy. To miał być męski klub, bez żadnych bab. Moja mama jest całkiem fajną babką, ale skoro wymyśliłem taki regulamin, trzeba się go trzymać.

– Dzięki! – Wziąłem z rąk mamy talerz z ciastkami owsianymi i pognałem z nimi na dół.

Sprawa gangu złodziei obrazów nie mogła przecież czekać.

